

O książkach i czytaniu

Artur Schopenhauer

Tłum. Grzegorz Sowiński

Archiwalia

Artur Schopenhauer

O książkach i czytaniu

1. Niewiedza degraduje człowieka dopiero wówczas, gdy się ją spotyka w społeczności bogatych. Biednego wiąże jego bieda i nędza; jego czynności zastępują mu wiedzę i zaprzatają jego myśli. Natomiast bogaci, którzy są ignorantami, żyją jedynie swymi przyjemnościami i równi są bydłu, jak to się codziennie widzi. Do tego dochodzi jeszcze zarzut, że bogactwo i wolny czas nie zostały tu spożytkowane dla sprawy, która nadaje im największą wartość.

2. Gdy czytamy, myśli za nas ktoś inny: my powtarzamy tylko jego mentalny proces. Tak samo w nauce pisania — uczeń wodzi piórem po liniach, które ołówkiem wyrysował mu nauczyciel. W lekturze praca myślenia jest nam w wielkiej części odjęta. Stąd odczuwalna ulga, gdy przestajemy się zajmować własnymi myślami i zabieramy się do lektury. Ale podczas czytania nasza głowa jest właściwie tylko areną cudzych myśli. Dlatego człowiek, który czyta bardzo dużo i prawie przez cały dzień, a w przerwach na odpoczynek bezmyślnie spędza czas, stopniowo traci swą zdolność myślenia, podobnie jak oducza się chodzić ktoś, kto stale jeździ konno. Taka utrata zdolności myślenia dotyczy bardzo wielu uczonych, którzy nacytali się tępo mnóstwa książek w swym życiu. Nieustanna, w każdej wolnej

chwili natychmiast podejmowana na nowo, lektura paraliżuje bowiem ducha jeszcze bardziej niż praca fizyczna; podczas tej ostatniej można przecież oddawać się własnym myślom. Tak jak sprężyna traci w końcu swą elastyczność pod trwałym naciskiem obcego ciała, tak duch zaprzepaszcza swoją pod stałym naporem cudzych myśli. I tak jak zbyt duża ilość pożywienia psuje żołądek, szkodząc tym samym całemu ciału, tak również ducha można przepelnić i zdusić zbytnią ilością duchowej strawy. Im więcej się bowiem czyta, tym mniej śladów pozostawiają w duchu przeczytane tomy: staje się on niczym tablica, na której wiele zapisano jedno na drugim. Stąd nie dochodzi do ruminacji, a tylko dzięki niej rzeczywiście przyswajamy sobie przeczytane dzieła. Jeśli się czyta bez ustanku, nie myśląc później samemu o przeczytanej treści, to nie chwyta się jej rdzenia i najczęściej gubi się orientację. W ogóle sprawa z duchowym pokarmem ma się podobnie jak z cielesnym: asymiluje się jego ledwie pięćdziesiątą część, reszta odchodzi przez ewaporację, respirację czy innymi drogami.

Poza tym myśli, które przelano na papier, nie są niczym więcej jak pozostawionym na piasku śladem piechura: czytelnik dobrze widzi drogę, którą ów niegdyś szedł, lecz by wiedzieć, co widział na swej drodze, użyć musi własnych oczu.

3. Właściwości literackich, takich jak na przykład siła perswazji, bogactwo obrazowania, dar porównań, śmiałość, albo cierpkość, albo zwięzłość, albo wdzięk, albo łatwość wyrażania, a także dowcip, zaskakujące kontrasty, lakoniczność, naiwność, itp. nie możemy nabyć przez lekturę pisarzy, którzy je posiadają. Z pewnością jednak możemy dzięki niej wywołać w sobie takie właściwości, jeśli je już posiadamy jako załączki, zatem *in potentia*, możemy je sobie uświadomić, możemy zobaczyć, co daje się nimi osiągnąć, możemy umocnić się w skłonności do ich używania, ba, w odwadze czynienia tego, możemy na przykładach osądzić skutek ich zastosowania i tak nauczyć się ich trafego użycia; dopiero wtedy posiadziemy je także *in actu*. Jest to więc jedyny sposób, w jaki lektura kształci do pisania, ucząc nas użytku, który możemy zrobić z własnych naturalnych uzdolnień — zawsze zatem tylko przy założeniu, że je posiadamy. Bez nich natomiast nie nauczymy się niczego więcej poza chłodną, martwą manierą i staniemy się płytkimi imitatorami.

4. Jak warstwy skorupy ziemskiej przechowują w sobie istoty, które żyły w minionych epokach, tak biblioteczne półki przechowują rzędami minione pomyłki i ich prezentacje, które, tak jak tamte istoty, w swoim czasie były niezwykle żywe i czyniły wiele wrzawy, a teraz, drętwe i skamieniałe, stoją tu, gdzie zajmuje się nimi już tylko literacki paleontolog.

5. Xerxes, według Herodota, patrząc na nieprzejrzane zastępy swych żołnierzy, zapłakał na myśl, że po stu latach żadnego z nich nie będzie już przy życiu; któż nie zapłacze na widok grubego katalogu, jeśli pomyśli, że z wszystkich tych książek żadna nie pozostanie przy życiu już po dziesięciu latach.

6. W literaturze jest nie inaczej niż w życiu: w którąkolwiek stronę się zwrócimy, natrafiamy zaraz na niezdatny do poprawy motłoch, który wszędzie występuje legionami, wszystko wypełnia i wszystko brudzi — jak muchy w lecie. Stąd bezlik marnych książek, tych wybujałych chwastów literatury, które przytłaczają łany pszenicy i pozbawiają je pokarmu. Wydzierają one czas, pieniądze i uwagę publiczności, należące się prawnie dobrym książkom i ich szlachetnym celom, podczas gdy marne napisano jedynie z zamiarem zdobycia zysków czy osiągnięcia urzędów. Są one zatem nie tylko niepożyteczne, ale i aktywnie szkodliwe. Dziewięć dziesiątych naszej obecnej literatury nie ma innego celu, jak wyciągnąć kilka talarów z kieszeni publiczności: dla jego osiągnięcia mocno sprzysiężyli się ze sobą autor, wydawca i recenzent.

Jest to przebiegłym i paskudnym, ale wielkim psikusem, spletanym dobremu smakowi i prawdziwemu wykształceniu epoki, że literaci, pismacy i ludzie parający się piórem dla chleba doprowadzili do tego, że wiodą na postronku cały elegancki świat, który wyćwiczyli w czytaniu *a tempo*, czytaniu przez wszystkich odbiorców jednego i tego samego, mianowicie najnowszych książek, aby w swych kręgach mieli oni temat do konwersacji: do tego bowiem celu służą marne powieści i im podobne produkcje, wychodzące spod renomowanych niegdyś piór, takich jak dawniej pióro Spindlera, Bulwera, Eugeniusza Sue, etc. Cóż jednak może być nędzniejszego nad los takiej beletrystycznej publiczności, która czuje się w obowiązku czytać zawsze najnowsze pisma w najwyższym stopniu pospolitych głów, piszących dla pieniędzy i stąd obecnych stale w wielkiej liczbie, a za to tylko z nazwiska znać dzieła rzadkich

i górujących duchów wszelkich epok i krajów! — W szczególności beletrystyczna prasa codzienna jest chytrze obmyślonym środkiem wykradania czasu estetycznej publiczności, który winna ona, dla dobra swego wykształcenia, przeznaczać dla autentycznych wytworów sztuki, czasu, który przypada codziennym partactwom pospolitych umysłów. Dlatego, z uwagi na nasze lektury, w najwyższym stopniu ważna jest sztuka nieczytania. Polega ona na tym, by dzieł, które w danym czasie tak właśnie zajmują węższą publiczność, nie brać dlatego też do ręki, na przykład pamfletów politycznych czy kościelnych, powieści, poezji, itp., które właśnie czynią wielką wrzawę, osiągając wręcz kilka wydań w pierwszym i zarazem ostatnim roku swego życia; należy sobie raczej pomyśleć, kto że pisze dla głupców, ten zawsze znajduje wielką publiczność, i — wciąż skąpo wydzielany czas, przeznaczony na lekturę, poświęcić wyłącznie dziełom wielkich, przerastających resztę ludzkości duchów wszelkich epok i narodów — dziełom, których znakiem jest głos sławy. Tylko one nas rzeczywiście kształcą i pouczają. Czytania marnych książek nigdy nie jest za mało, lektura dobrych nigdy nie jest za częsta: złe książki są intelektualną trucizną, niszczą ducha. — Ponieważ ludzie, zamiast czytać najlepsze dzieła wszystkich czasów, stale czytają tylko najnowsze, przeto pisarze pozostają w wąskim kręgu kursujących w obiegu idei, a epoka coraz głębiej zamula się w swym własnym bagnie.

7. We wszystkich czasach istnieją dwa rodzaje literatury, które są sobie wzajem prawie zupełnie obce: literatura rzeczywista i literatura pozorna. Pierwsza wyrasta w trwałą literaturę. Uprawiana przez ludzi, którzy żyją dla nauki czy dla poezji, idzie swą drogą poważnie i cicho, ale nadzwyczaj powoli, w Europie produkuje ledwie tuzin dzieł na jedno stulecie, które jednak trwają. Druga, uprawiana przez ludzi, którzy żyją z nauki czy z poezji, postępuje galopem, pośród wielkiej wrzawy i pokrzykiwań uczestników, a wypuszcza na rynek co roku wiele tysięcy dzieł. Lecz po kilku latach zadajemy sobie pytania: gdzie one są? gdzie jest ich tak wczesna i głośna sława? Dlatego literaturę tę można określić także jako ulotną, tamtą zaś jako trwałą.

8. W historii świata pół wieku jest zawsze sporym okresem; jej przedmiot bowiem wciąż się rozrasta, gdyż stale coś

zachodzi. W historii literatury natomiast półwiecze często w ogóle się nie liczy, albowiem nic się nie wydarzyło, a partackie próby zupełnie jej nie obchodzą. Jest się zatem dokładnie w tym samym miejscu, w którym było się przed pięćdziesięciu laty.

By to objaśnić, unaocznijmy sobie postępy ludzkości w dziedzinie poznania z pomocą obrazu planetarnej orbity. Wówczas manowce, na które zwykle się schodzi wkrótce po każdym znaczącym postępie, dadzą się przedstawić jako ptolemejskie epicykle — po przebiegnięciu każdego z nich jest się z powrotem w tym samym miejscu, w którym się było przed rozpoczęciem epicyklu. Lecz wielkie umysły, które rzeczywiście prowadzą naprzód ludzki ród na owej planetarnej orbicie, nie współuczestniczą w danym epicyklu. Tym się wyjaśnia, dlaczego sława u potomnych najczęściej bywa opłacana brakiem poklasku u współczesnych, i na odwrót. — Takim epicyklem jest na przykład filozofia Fichtego i Schellinga, ukoronowana na koniec swą heglowską karykaturą. Epicykl ten odbił od kolistej linii, ostatnio poprowadzonej przez Kanta do tego miejsca, w którym ja sam ją później podjąłem, by ją poprowadzić dalej; wspomniani filozofowie pozorni, a także kilku innych oprócz nich, przebiegali w tym czasie swój epicykl, który teraz wreszcie dobiegł kresu, dzięki czemu ciągnąca za nimi publiczność spostrzega, że znajduje się właśnie w tym samym miejscu, z którego niegdyś wyruszyła.

Z takimi kolejami rzeczy łączy się okoliczność, że mniej więcej co trzydzieści lat naukowy, literacki i artystyczny duch czasu kończy swój żywot jawnym bankructwem. Przez ten okres każdorazowe pomyłki tak się wzmagają, że załamują się pod ciężarem swej absurdalności, a równocześnie wzmacnia się przy nich opozycja. Dochodzi wówczas do przewrotu; nierzadko jednak następuje teraz pomyłka w przeciwnym kierunku. Prezentacja tego biegu rzeczy w jego periodycznym nawrocie byłaby odpowiednim, pragmatycznym zadaniem historii literatury, która wszakże niewiele o nim myśli. Zresztą, wobec stosunkowej krótkotrwałości takich okresów, często trudno zestawić ich daty w odniesieniu do bardziej odległych czasów; dlatego najwygodniej jest zaobserwować całą sprawę w swej własnej epoce. Jeśliby się chciało podać przykład z nauk realnych, to można by wskazać na neptuniczną teorię geologiczną Wernera. Pozostają jednak przy już przytoczonym wcześniej, bliskim nam przykładzie z kręgu filozofii. Po kantowskim okresie świetności bezpośrednio nastąpił w filozofii niemieckiej inny okres, w którym starano się imponować, miast przekonywać; zamiast o gruntowność

i jasność, zabiegano o okazałość i hiperboliczność, a zwłaszcza o niezrozumiałość; ba, zamiast poszukiwać prawdy, posuwano się do intryg. W tej sytuacji filozofia nie mogła uczynić żadnego postępu. Aż wreszcie cała ta szkoła i metoda skończyła się bankructwem. Albowiem Hegel i jego kompani bezczelność w gryzmoleniu bezsensów z jednej strony, a w niczemnym ich zachwalaniu z drugiej, wraz z widoczną rozmyślnością tego starannie prowadzonego przedsięwzięcia, doprowadzili do tak kolosalnych rozmiarów, że na tę szarlatanerię wszystkim musiały się w końcu otworzyć oczy, a także usta, gdy, w konsekwencji pewnych wynurzeń, pozbawiono ją odgórnej ochrony. Fichteańskie i schellingańskie antecendencje tej najnędniejszej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zaistniały, filozofijek pociągnęła ona za sobą w otchłań dyskredytacji. Dzięki temu wychodzi teraz na jaw cała filozoficzna niekompetencja pierwszej połowy pokantowskiego stulecia, podczas gdy wobec zagranicy chętnymi się filozoficznymi talentami Niemców — zwłaszcza odkąd pewien angielski pisarz zdobył się na złośliwą ironię, nazywając Niemców narodem myślicieli.

A jeśliby ktoś chciał dla przedstawionego tu ogólnego schematu namacalnych świadectw z historii sztuki, to wystarczy, by przyjrzał się kwitnącej jeszcze w ubiegłym wieku, zwłaszcza w jej francuskiej kontynuacji, szkole rzeźbiarskiej Berniniego, która prezentowała pospolitą naturę zamiast antycznego piękna, a francuską etykietę menueta zamiast antycznej prostoty i gracji. Szkoła ta skończyła bankructwem, gdy, po napomnieniu ze strony Winckelmana, nastąpił powrót do szkoły starożytnych. — Z dziedziny malarstwa znów świadectwa dostarcza pierwsza ćwierć obecnego wieku, kiedy to sztukę uznawano za środek tylko i instrument średniowiecznej religijności, wybierając dlatego za jedyny temat malarstwa motywy kościelne, opracowywane teraz przez malarzy, którym brakowało prawdziwej powagi owej wiary, a którzy jednak, w konsekwencji wspomnianego urojenia, wzięli sobie za wzór Francesca Francię, Pietra Perugino, Angela di Fiolę i im podobnych, ba, cenili ich wyżej niż następujących po nich, rzeczywiście wielkich mistrzów. Mając na uwadze ten mętlik, a także ponieważ analogiczna dążność doszła do głosu równocześnie w dziedzinie poezji, napisał Goethe swą przypowieść *Klesza gra*. Także ta szkoła, którą uznano potem za opartą na fanaberiach, skończyła bankructwem i nastąpił po niej nawrót do natury, który manifestuje się wszelkiego typu obrazami rodzajowymi i scenami z życia, czasami gubiąc się jednak w pewnej pospolitości.

Zgodnie z przedstawioną tu drogą ludzkich postępów historia literatury, w swej największej części, jest katalogiem gabinetu wyrodków. Spirytusem, w którym się one najdłużej konserwują, jest świńska skórka okładek. Nielicznych płodów, które się dobrze udały, nie ma tam co szukać: one pozostały przy życiu, a spotyka się je wszędzie w świecie, gdzie, jako nieśmiertelne, weszły w okres swej wiecznie rzeńskiej młodości. Tylko one stanowią wspomnianą wcześniej rzeczywistą literaturę, której ubogich w nazwiska dziejów uczymy się od młodości z ust wszystkich wykształconych duchów, a nie dopiero z kompendiów. — Przeciwnie otwarciu dziś panującej monomanii czytania opracowań historii literatury, dzięki którym można o wszystkim paplać, niczego właściwie nie poznawszy, polecam w najwyższym stopniu wart lektury ustęp z Lichtenberga, t. 2, s. 302 starego wydania.

Z pewnością życzyłbym sobie jednak, aby kiedyś spróbował ktoś napisać tragiczną historię literatury, gdzie przedstawiłby, jak rozmaite narody, z których każdy swą najwyższą dumę czerpie wszak z wielkich pisarzy i artystów, traktowały ich życia; gdzie zatem przywiódłby nam przed oczy nie mającą kresu walkę, którą zwycięsko musiały toczyć znamienite i autentyczne dzieła wszelkich epok i krajów z każdorazowo panującymi miernotami; gdzie zobrazowałby martyrologię prawie wszystkich wielkich mistrzów z wszelkich dziedzin sztuki; gdzie zaprezentowałby nam, jak wszyscy oni, z nielicznymi wyjątkami, męczyli się w biedzie i nędzy, bez akceptacji, bez zainteresowania, bez uczniów, podczas gdy sława, zaszczyty i bogactwo stały się udziałem ludzi niegodnych swej profesji, jak zatem przypadł im los podobny do losu Ezawa, któremu, gdy wyruszył dla ojca na polowanie i gonił za dziką zwierzyną, Jakub, przebrany w jego szaty, skradł w domu błogosławieństwo ojca; gdzie pokazałby, jak jednak wszystkich podtrzymywała na duchu miłość do ich rzeczy, aż wreszcie ciężka walka takich wychowawców ludzkości dobiegała końca, czekał ich nieśmiertelny wawrzyn i wybijała godzina, w której także dla nich rozbrzmiewały te wersy:

Z ciężkiej zbroi staje się szata uskrzydłona,
Krótkotrwały jest ból, a radość nieskończona.

przełożył Grzegorz Sowiński